Przyjaciel Ludu.

Rok trzeci. **No. 38.** Leszno, dnia 25. Marca 1837.



Pochód karawany na puszczy.

Obrazek nasz przedstawia nocną scenę pochodu. Nad Jordanem szeroka rozlega się płaszczyzna; tutaj wypocząwszy sobie przez czas największego upału, około północy, gdzie najlepiéj jest podróżować, wyrusza w dalszą podróż. Mnóstwo zapalonych kagańców, na tyczkach osadzonych i zatkniętych w ziemi, oświeca posępną ciemność nocy; dwojaki ich cel: najprzód oświecenie okolicy, powtóre odpędzenie drapieżnych zwierząt, które, jak wiadomo, przed ogniem uciekają. Ow człowiek na koniu w środku, jest zapewne przewodnikiem karawany, co otaczającym go ludziom, wydaje potrzebne do dalszéj podróży rozkazy. Za ogniem, przy którym stoi Europejczyk w dużym kapeluszu, szykuje się na koniach eskorta karawany; po lewéj zaś stronie klęczy obładowany okręt pustyni, jak go Arabowie nazywają, wielbłąd, i chce wstawać: za nim pełno ludzi i wielbłądów. Taki ruch w samotnéj puszczy, daje czarowny obraz życia, i przypomina, że człowiek połączonemi siłami wszystkiego, sam zaś nic dokazać nie zdoła.

Palenie czarownic w Szwecyi.

Czytaliśmy przed kilkunastu miesiącami w Przyjacielu Ludu, jak zabobonni przodkowie nasi kilka czarownic w Doruchowie pod Kempnem żywo spalili. Życzylibyśmy, aby to gorszące zdarzenie poparte być mogło przytoczeniem aktów, z których wyjęte zostało. Lecz przypuszczając, że jest prawdziwem, *) nadmienimy tu, bo tak bezstronność każe, że nie tylko u nas, ale i w

*) Redakcya P. L. posiada autentyczne sądowe akta palenia czarownic Doruchowskich, i wkrótce ich Publiczności udzieli: to faktum nie podpada żadnéj wątpliwości. Z resztą relacya nasza nie z aktów wyjęta, lecz z opowiadania naocznego świadka. Akta późniéj dopiero nas doszły.

innych krajach podobne się nadużycia zdarzały; udowodnimy, że nie tylko święta inkwizycya, ale i protestantskie zbory w dawniéjszych wiekach, stósy na czarownice rozpalały. Na dowód tego przytoczymy sądowne akta trybunału karnego szwedzkiego, który w roku 1668 we wsi Mora w prowincyi dalekarliskiéj, prawomocnym dekretem, w jednym dniu, ośmdziesiąt i siedm osób na stós skazał.

Proces czarownicom w Mora wytoczony, którego szczegóły z historycznych czerpamy źródeł, *) tém nas więcéj zastanawia, iż zważając na jednozgodność zeznań pozwanych i świadków rozmaitych stanów, płci i wieku, wnosić wypada, iż umysłowa jakaś choroba całą tę okolicę w ówczas zaraziła; ale przystąpmy do rzeczy.

W roku 1669, we wsi Mora, szał jakowyś upowszechniał się między tamecznemi kobietami i dziećmi, które jak we śnie jak na jawie, z nadzwyczajnym zapałem rozpowiadały o czarach, zaklęciach, tańcach czarodziéjskich, i odbywanych podróżach po powietrzu na Łysą górę, którą Szwedzi Blokula zowią. Wszystko to w XVII. wieku w Europie, bez różnicy kraju i wyznania, bezpośrednim stósunkom z złymi przypisywano duchami. Gdy wieść o czarownicach dalekarliskich po Szwecyi się rozniosła, uczyniono wniosek do rządu, aby zesłał kommissyą, któraby wraz z duchowieństwem i sędziami prowincyonalnymi rzecz tę wybadała i winnych ukarała. Wyznaczona przez króla kommissya wraz z sędziami i duchowieństwem, zjechała wkrótce do Mory, i tamże urzędowanie swoje rozpoczęła. Badano oskarżonych, ciągniono inkwizycye tak z dobrowolnych zeznań, jako i za pomocą tortury. Powołano na świadków ludzi różnego stanu, płci i wieku, a nawet małe dzieci, z których jedno czteroletnie zeznało, że jeszcze się na pamięć nie nauczyło lekcyi, którą mu czarownice zadały.

Po długich i spokojnych naradach trybunał duchowny i świecki skazał żywo na stós 72 kobiet i 15 starszych dzieci, i żywo je spalić rozkazał.

Wspomnieć nam tu należy niektóre ważniéjsze zeznania, na które się obwinieni w Mora prawie wszyscy zgadzali. Miéjsce, gdzie się czarownice szwedzkie zgromadzają, nazywa się Blokula. Zwykły one z sobą brać dzieci, których gdy przynajmniéj piętnaście na tę schadzkę nie dostawią, chłostę odbierają. Jeżdżą one po powietrzu na kozłach, na kijach, lub miotłach; dzieci zaś wszystkie na kijach, które do ogona kozłów przywięzują.

W Blokuli każda czarownica krwią się w wielką zapisuje xięgę, poczém daje jéj szatan worek pełen opiłków od dzwonów, które w wodę wrzuca, mówiąc: „niech moja dusza tak pewnie do nieba nie wejdzie, jak te opiłki nigdy niewrócą do dzwonu, z którego pochodzą.“ Potém całe zgromadzenie siada do stołu: po obiedzie zaś zaproszeni idą w tańce, przy których często do kłótni, a nawet do bitwy między gośćmi przychodzi, z czego Lucyper tak się śmieje, że się za boki trzyma.

Spytają się może czytelnicy nasi, jak Lucyper wygląda; odpowiemy na to, iż stósownie do zeznań czarownic w Mora, chodzi zwyczajnie w szarym surducie, czerwonych spodniach, błękitnych pończochach i wysokim kapeluszu, ozdobionym mnóstwem wstążek różnobarwych.

Lecz dosyć już tych szczegołów, które uwłaczają godności człowieka; niemylnie przecież przekonywają, że żadne wyznanie, żadne prawodawstwo, nie ochroni zupełnie kraju od błędów, których szał w pewnych epokach rodzaj ludzki uwodzi.

R. R.

*) Saducaeismus Johannis Glanvilli.

Delinkwent.

(Wyjątek z rękopismu: Słownik starożytności polskich.)

Człowiek na śmierć skazany przez sąd, nazywał się delinkwentem. Po odczytaniu wyroku w izbie sądowéj, strona skarżąca, albo gdy oskarżycielem był instygator, natenczas sąd, umówili kata. Na kilka dni przed śmiercią, instygator lub pisarz, sprowadzali do delinkwenta xiędza.— Więzienie, w którém delinkwent był trzymany przez stróżów, stało dla każdego otworem; owszem było sądu obowiązkiem starać się o jak najwięcéj odwiedzin, a to w tym celu, żeby delinkwent powziął przekonanie, że społeczność wymierzając na nim sprawiedliwość, skoro go ma już za oddalonego z pośród siebie, wróciła z nim do dawnéj zgody. Wciągu tych ostatnich dni zaopatrywano delinkwenta we wszystko, czego tylko do jadła lub picia żądał. W dzień tracenia usypano tylko piaskiem przed ratuszem; stawali młodzi miéjscy, a gdzie było wojsko, tam żołnierze w koło; w środek wchodził xiądz, jeden urzędnik sądowy i kat, który delinkwenta ścinał. Po exekucyi złożono ciało w trumnę; pomiędzy kolana kładziono głowę i odwożono w większych miastach do sklepu pod jakim kościołem, już dla delinkwentów przeznaczonego; w małych zaś miastach na cmentarz. Lud zgromadzony rzucał się z wściekłością na miéjsca exekucyi i łapał okrwawiony piasek, który miał mieć moc czarodziéjską, i zachowany pomiędzy napojami lub rzeczami jadalnemi, sprawiał wielki pokup. Jeżeli delinkwent był skazany na powieszenie, wtedy wyprowadzono go przed szubienicę, która dawniéj stała przy każdém sądowém mieście i była miana jakoby za oznakę godności i ozdobę. Delinkwent obwieszony był nie przez kata, ale tylko przez jego parobka czyli oprawcę, i wisiał, dopóki go kruki i wrony nie zjadły. Jeżeli delinkwent wyprowadzony, na śmierć podjął się zrobić co bardzo szczególnego dla miasta; jeżeli się wydarł

straży i uciekł do kościoła; jeżeli był Żyd i obiecywał chrzest przyjąć; wtedy nieraz darowano go życiem. Czacki powiada, że z Węgier przeszedł do Polski obyczaj, iż, gdy delinkwentowi nieżonatemu dziewczyna rzuciła chustkę, i on oświadczył, że się chce z nią żenić, wtedy magistraty dawały ułaskawienie. — Jest powieść, iż jednemu delinkwentowi niezmiernie straszna baba tym sposobem pardon ofiarowała, ale delinkwent obejrzawszy się na nią, zawołał na oprawcę: „Panie Jakubie wieszaj W. Pan," i ztąd te wyrazy są przysłowiem, kiedy kto jakiéj niekorzystnéj łaski od drugiego przyjąć niechce.

Szlachcica zawsze karano tylko mieczem, a publicznie, chyba z przyczyn politycznych. Za rozboje zaś, najeżdżania i kradzieże, exekwowano wyrok o nocnéj porze w sklepie. Nazajutrz rozgłaszano, że ten i ten umarł, dzwoniono po wszystkich kościołach i wyprawiono piękny pogrzeb. Jeżeli nie było familii, to sam sąd i inni bracia szlachta robili składkę hojną i modlili się za duszę nieboszczyka. Według praw litewskich, za uwięzionego poddanego i za jego exekwowanie, nie strona, ale jego pan płacił koszta. Gdy delinkwent był zamknięty, a oskarżyciel nie sprowadzał kata, natenczas delinkwenta puszczano bezkarnie.

O ogrodnictwie.

(Dalszy ciąg.)

Dzieje sztuk szczególne przedstawiają zjawisko, że zwykle podobne przebiegają koleje. W początku zadziwiać usiłują; w dalszym rozwinięciu tylko ująć i zadowolnić pragną; a sztuka tém doskonalszą się staje, im więcéj się zbliża, kojarzy i jednoczy z duszą. Czy rzucisz okiem na budowy Tebaidy niezmierzone okiem, a zawieszonych ruin ogromem cisnące widza ku ziemi; czy na ich współcześników potężne Memnony; czy wreście na szczytne poemata Indyan i Greków; czy też nakoniec na te nadludzkie kształty, które w pierwszych wiekach malarstwa cudotworny zakreślał pendzel; wszędzie w samym początku sztuk pięknych ujrzysz tę wyraźną, nieprzepartą dążność do obudzenia czci i podziwienia w człowieku. Sztuka z razu oddalona od niego, zdaje się niby mierzyć genialnemi oczyma cały przestwór, który go od niéj oddziela. Budzi w nim postrach i podziw, odsuwa go od siebie całą siłą nowonarodzonego geniuszu, nim go macierzyńską dłonią przytuli do łona. A tak człowiek wprzód podziwia, nim pozna; wprzód czci, nim|miłuje: świadczą to rzeźbiarstwa, budownictwa, malarstwa i poezyi dzieje; zaświadcza czterdziestowiekowa historya ogrodownictwa.

Ród ludzki jeszcze był w kołysce, gdy assyryjska Semiramida, mnogich zwycięstw syta, chcąc imię swe przekazać potomności, arcydziełem sztuki, na murach pysznego Babilonu siedm zawiesiła ogrodów, które świat ziemski między swe cuda policzył. Naśladowali je zdobywce tych krajów, i po stolicach Persyi i ludnych miastach Azyi mniéjszéj ujrzano przepyszne ogrody, z oryentalnym zakładane zbytkiem. Ztamtąd to brali wzory Alexandra wodzowie, ztamtąd wziął je i ów Lukullus, który przy Bai tak piękne założył kąpiele i ogrody, iż go rzymskim Xerxesem przezwano. W późniéjszych wiekach, gdy się narody i ich wiara zmieniły, ojczyzna ogrodów szczycić się z nich nie przestała; gdyż zaledwie półksiężyc zajaśniał na jéj polach, już kalifowie arabscy poczęli zdobyte upiękniać miasta, i lekkie wznosić meczety, kwieciste, chłodne i wonne zakładać ogrody. Zapomniano już o cudownym Semiramidy dziele, gdyż Dyodora z Sycylii i Strabona wieści, oddawna poszły w niepamięć, a cały świat dawny już był odumarł na zawsze. Nowy ród Izmaela sięga po berło świata, nowe się rodzą sztuki, nowa odradza poezya. Jakże błogo synom pustyni pod syryjskiém oddychać niebem; ten, co nieznał wody, jak z łona wielbłądów lub bagnistych źródlisk Oazy, teraz dzień i noc słyszy miłe jéj szemranie w basynach z marmuru; ten, co nie znał innego cienia nad cień namiotów, a szczycił się dawniéj z kilku palm swego sioła, teraz w mnogie obfituje drzewa i w różannych spoczywa szałasach; nakoniec, co nigdy kwiatu nie ujrzał na suchéj murawie Arabii, teraz niezliczonych kwiatów upaja się wonią, a ulubionym nadaje imiona. Jakież odmienne to życie, ileż rozkoszy nie wzbudzi, ileż nowéj nie zrządza poezyi! Żyją dziś jeszcze cudowne powieści, pełne woni i wdzięku, które dziewica arabska w tysiącu nocach opowiadała panu, i póki na błękicie niebios czernieć się będą minaretów wieże, a półksiężyce w dzienném odbijać się świetle, powiastki te nie przestaną żyć u ludu i w duszy poetów. Lecz, cóż malują te powieści? nadobne i boskie dziewice, piękne i cudowne ogrody, jeden urok piękności na oba rzucony, tak na głos melodyjny téj córy pustyni, jak i na cieniste spoczynki, wonne oddechy i ciche szemranie chłodnych wód ogrodu. Gdzie oręż i poezya Arabów, tam i syryjskie rozpostarły się ogrody. Obraz ich kołysany na wałach środziemnego morza, fale jego na wszystkie rozniosły nadbrzeża; grecka Azya Mniejsza, świetny Egipt, numadzkie Afryki państwa, nawet wizygocka Hiszpania, dawnéj odumarłe wierze, nowéj odżyły poezyi: świadczą to jeszcze przepyszne Alhambry zwaliska; a kiedy Hiszpan spogląda na nie zimném okiem burzyciela, zdumiewają one podróżnego, piękność ich rozumiejącego. Lecz, gdzież kres ostatni tych ogrodów przepychu i zbytku, ogrodownictwa dziwów i cudów? Pod najpotężniéjszym Europy monarchą, pod wielkim Ludwikiem, kilkowiecznym snem ujęty Fenix na nowo powstaje; czarodziejstw Lenotra łaską wskrzeszony. Nowy kunszt olbrzymie skrzydła roztacza, olbrzymie znaczy zarysy. Jakież zdołają karłowi naśladowcy ścigać geniusz przodownika. Co w Wersalu jest arcydziełem, gdzieindziéj stało się



Widok parku angielskiego Blenheim. *)

pstrą i niecną karykaturą. Silniéjsze trzeba mieć barki, niżeli gmin je posiada, aby z naturą panią iść w zapasy, w przeważne ująć ją dłonie i w twarde ujarzmić karby; a kto nie zdoła pokonać, niech nie rozpoczyna walki, niech raczéj hołd złoży naturze, niech ją poważa i uczci w swych dziełach.

Te wszystkie rodzaje ogrodownictw, które tyle wieków przetrwały, mają wspólny charakter; tym zaś jest: architektoniczność; nie rządzą bowiem budowlami, raczéj je wspierają, wywyższają, stroją, słowem, służą budownictwu. Oba kunszta, kilkunastuwiekowém spojone pobratymstwem, tak ścisłym łączyć się zdawały węzłem, jaki jest dotąd jeszcze między muzyką i tańcem; węzłem, który zerwać w najnowszych dopiero czasach odważyli się mistrze. I w tém znowu upatrujemy cechę niemal wszystkim kunsztom właściwą, że zwykle nie pojedyncze na świat występują, lecz wspierane przez inne, pod ich skrzydłami wzrastają. Ileżto wieków poezya była nieodłączną siostrą muzyki, rzeźbiarstwo służyło tylko do wywyższenia piękności architektonicznych, o czém egipskie świątynie zaświadczą. Twierdzą uczeni, że budownictwo starożytne malarstwa nawet używało do użyczenia mu świetnych dzieł swego pendzla; styl byzantyński dziś jeszcze powleka się niemi. — Jakżeż długo alfresko zdobiło ściany świątyń; nim człowiek osobne skreślił obrazy. — Podobnież i ogrody, czy to assyryjskie Semiramidy, czy rzymskie Lukulla, czy arabskie Bagdadu i Alhambry, czy wreszcie francuzkie Lenotra, wszystkie zawsze zostawały podrzędnemi budownictwu, a w XVI. wieku z innym jeszcze się połączyły kunsztem, t. j. z snycerstwem. Posągi, z gruzów Villi Hadryana wykopane, które kardynał d'Este w swoim popostawiał ogrodzie, w świetniéjszą się piękność przybierały: greccy bogowie zdawali się wspominać owe chwile, kiedy w elizejskich gajach cześć im oddawali olimpijskich igrzysk zwycięzce. Dzisiaj ogrodownictwo już zrzuciło przybranych kunsztów jarzmo; nie przystoi mu obcych pożyczać wdzięków. Natura jaśnieje, w całym swym blasku odźwierciadla się w ogrodownictwie i wzywa zwolenników swoich o cześć wyłączną i nową.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*) Blenheim, 7 mil na północ od miasta Oxfort: zamek tutejszy przez królowę Annę roku 1705 zbudowany i darowany sławnemu zwycięzcwami xięciu

Boga rodzica.

(Wyjątek z rękopismu: Słownik starożytności polskich.)

Tu niemówimy o Pannie Maryi, ale tylko o pieśni Boga rodzica, którą znajdujemy we wstępie zbioru praw (Volumina Legum) i którą Niemcewicz odpisał w Gnieźnie roku 1812, jak ją śpiewają tamtéjsi xięża.

Text ten jest znany. Względem téj pieśni najważniéjsze jest świadectwo Jana Łaskiego, kanclerza a potém arcybiskupa Gnieźnieńskiego, który w przedmowie do statutu wydanego roku 1506 **) powiada, że w archiwach zamku Krakowskiego, znalazł najdawniéjszą ustawę z czasów Bolesława Chrobrego, zdaniem całéj Polski pochwaloną, która nakazywała rycerstwu, aby przy zaczynaniu każdéj bitwy śpiewało pieśń Boga rodzica. Według świadectwa Czackiego, Łaski był człowiek nikczemnego charakteru, z krewnymi swymi łupił bezczelnie dochody katedry, był ograniczony, grubo-ciemny; cudzą pracę sobie tylko przywłaszczał. Jego więc podania wolno mieć w podejrzeniu. I z historyą nie zgadza się także, żeby Bolesław Chrobry swoje rozporządzenie kazał narodowi pochwalać. — Mógł wreszcie Łaski widzieć taką ustawę i na niéj podpis Bolesław i podpisy może jakich radzców, ale to mógł być bardzo łatwo inny Bolesław. Krasicki w piśmie o rymotwórcach powiada, „że najdawniéjszy rytm językiem polskim, a bardziéj z czeska słowiańskim, jest sławna owa pieśń Ś. Wojciecha, arcybiskupa gnieźnieńskiego.“ Trudno atoli postrzegać i ten język z czeska słowiański, trudno i przyjmować, że Ś. Wojciech był arcybiskupem w Gnieźnie, gdzie jeszcze katedry nie było. Owszem w texcie gnieznieńskim język użyty jest oczywiście zrozumialszy i nowszy, niż w książeczce od modlitwy xiężnéj Jadwigi; niż



Obraz z statutu polskiego roku 1506.

szych krakowskich druków, opisuje. Tytuł: „Commune incliti Polonie regni privilegium, constitutionum indultum, publicitus decretorum approbatorumque cum nonnullis juribus tam divinis, quam humanis p. Serenissimum principem et dnum Alexandrum dei gratia regem Poloniae etc.“ drukiem gockim w 14 linijkach, większą połowę karty zajmuje; w części dolnéj rycina wyobraża króla chudego, w krótkiej po kolana odzieży, z koroną na głowie, i bardzo kończatych trzewikach; siedzi na tronie z berłem w prawéj ręce; lewą zaś położył na książce, którą trzyma naprzeciw stojący doktor w odzieży długiéj i birecie; w głębi za księgą, stoi podobnież ubrany doktor. Joannes de Lassko Cancellarius do praełatów duchownych i świeckich, baronów, patrycyuszów, rycerstwa i szlachty wstęp, tudzież Canticum Boga Rodzijcza. Ze wszystkiém kart 354 i jedna całoarkuszowa. Na końcu, na ostatniéj stronie: Cum omni studio ac diligentia Cracoviae in edibus Johannis Haller, ad commissionem Reverendi pris Dni Johannis de Lasko impressa An. Dn. MCCCCCVI.

Malborough: gmach jakkolwiek ociężały, ogromem swoim i królewską wspaniałością dotychczas zadziwia: stał niegdyś nad urwiskiem; z czasem zrównano wydoły i zamieniono okolice w najpiękniéjszy park; głęboką niegdyś doliną płynie teraz spokojna rzeka, a przepłynąwszy most, rozlewa się w jezioro, wynurzające z łona swego cienistém drzewem umajoną wyspę: gdziekolwiek spojrzysz, nowe i niespodziewane widoki; wszędzie sztuka z naturą w przymierzu zachwycające stawia ci obrazy.

**) Uczony autor: bibliograficznych ksiąg dwoje, tak nam Statut Łaskiego, należący do pierw-

w pamiętnikach Janczara, który żył w środku XI. wieku; ortografia zaś ma wszystkie cechy odmian, wprowadzonych przez Jana Kochanowskiego, i jest prawie teraźniéjsza. Nie wnosimy ztąd, aby pieśń Boga rodzica nie sięgała daleko za wiek XV., ale tylko sądzimy, że język i pismo w texcie gnieznieńskim nie wykrywają czasu, w którym oryginał był pisany. Skoro tę pieśń wspomniał Łaski, a text ma późniéjszą ortografią Kochanowskiego, przeto mamy oczywisty dowód, że text w przepisywaniach zmieniono.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Święcone wielkanocne.

Utrzymują się pomiędzy rozmaitymi narodami różne zwyczaje, których początku trudno wyśledzić. Odległéj starożytności sięga zwyczaj, powszechny jedynie pomiędzy narodami sławiańskimi, zastawiania stołów podczas świąt wielkanocnych rozmaitemi pokarmami. W tym dniu i najuboższy kmiotek zdobywa się na kawał wieprzowiny przynajmniéj, kiełbasę, placek i jaja; majętniéjszy na okazalsze przygotowania; niesie je do swego plebana, lub wzywa go w dom własny, aby mu je pobłogosławił. Po nabożeństwie odbytém, z rodziną, domownikami, z gośćmi i każdym w dom przybyłym, dzieli się naprzód gospodarz święconém jajkiem w śród życzeń jak najlepszego zdrowia i pomyślności, potém częstuje innemi zapasami. Wśród wojny pożogów niezapomnieli Polacy, będący za Napoleona w Hiszpanii, o rodzinnym zwyczaju, i zastawiali święcone, lubo nie bez trudności obcy xiądz je poświęcał, nie znajdując przepisanego na to obrządku. Uginają się i teraz stoły pod ciężarem szynek, mięsiw, jaj, kiełbas i placków, lubo nie widać téj okazałości, jaką przodkowie nasi lubili; albowiem nie tylko szlachta zamożna, ale i obywatele miast walczyli z sobą o pierwszeństwo w przepychu. Pierwsi panowie i urzędnicy uczęszczali na ich biesiady i nawzajem do siebie ich zapraszali. Przytaczamy czytelnikom naszym na stwierdzenie tego list Mikołaja Pszonki, dworzanina hetmana Tarnowskiego, do żony swéj, opisujący zastawienie stołu u mieszczanina i rajcy krakowskiego, Mikołaja Chroberskiego.

„Niepotrafię wypowiedzieć, ani dać obrazu Waszeci, sercem najukochańsza Salusiu, jaki tu rozgardyasz panuje podczas świąt wielkanocnych zmartwychwstania Pańskiego! A toż to nic nie widziałech i niesłyszałech podobnego w naszych stroniech! Tu mieszczanin może nabuczyć się, jak pan wojewoda, bo ma też w co. Wnidziesz do komnaty, a to jakoby do skarbcu. Na ścianach bogate obicia, szafy napełnione misami, kružami, puharami, srebrnemi czarami, a że ślepia ci oko. Sama gospodze [pani domu] w zaušnicach od rubinów, brylantów; perły na szyjéj jak groch największy, a tego niepare, ale pięć, ośm sznurków, a jedna w drugą, jak łza. Nie będę Waszeci opisywał onych szat jedwabnych, bo sama przy pomocy Boskiéj masz też takož na siebie co wdziać. Dziewki przyznam się sumiennie Waszeci gdyby Dyanny, chędogie, a prześliczne jedna nadedrugą. Sami mieszczanie bogaci najwięcéj chodzą czarno. Oj gdybyś Waszeć zobaczywała szpinki! szpinki u szyi tych Krezusów, a toż to Panie odpuść, djabeł im pieniędzy na to dodawać musi! Ano też to oni handle prowadzą z połową świata, niedziw, aza to mało niesie?

„Ale już czas wielki, aby Waszeci opisał, bo ci to będzie miłe czytanie, a Bogiem się zamiłuję, że wszystko prawda szczera, com widział i pożywał na święconém u Imci pana Mikołaja Chroberskiego rajcy, mieszczanina utściwego prawdziwie, ba i wielce tu znaczącego, bo nawet u króla Imci nie osobliwość mu widzianym być. Zaprosił on tedy na święcone Imci pana hetmana, naszego pana principała, z namy dworzany kilkoma prosto z wotywy w kościele N. Panny Maryey, gdzie miłościwy pan nasz najaśniéjszy król z prześliczną królową swoją Basią, tak jéj zawdy mówi, z całym dworem i przedniéjszymi pany pobożnie w dzień Poniedziałkowy znajdował się, a celebrował mszą śtą xiądz Petrycy, wielki, jak słych, faworyt najmiłościwszego pana. Jak się tedy szczęśliwie przy bożem błogosławieństwie zakończyła msza święta, pojechał nasz jaśnie wielmożny w swojéj karocy, a my za nim na koń, prosto przed dom Imci pana Chroberskiego na ulicę bracką. Weślichmy do wielkiéj izby, tuż przy boku pańskim, bo też dziwnie tego dnia pełny był łaskawości i dobroci, boć nie zawzdy mu to trafia się, ale też kiedy już dobry, tobyś go Wasze z anioły posadziła. Wprogach witany od Imości pani Chroberskiéj, prześliczny zrobił jéj affekt, a córę ich rozkwitającą, jakoby pączek róży, Imci pannę Agniszkę najmiléj pocałował w czoło, i zaraz pokręcił wąsa i błysnął na nią okiem. Anoli odwarły się drugie drzwi dębowe, i perłową macicą i hebanem wykładane, aż tam ja oczy zgubił, choć mi nie nowina bogactwa widzieć; ale że to było u mieszczanina, i żech niewidział jeszcze, co to Kraków! Otóż gdybyś waszeć patrzyła: stół okrągły na środku wielki dębowy, żeby stu ludzi koło niego wygodnie siadło i jadło. Obrus jeden na nim wielki, ale w krzyż zeszywany, tak, że ledwie się wpatrując bardzo, poznać to. Było na nim co tu opowiadam, bom sobie dobrze každą rzecz na pamięć brał, abych Waszeci rzetelną relacyą zdać mógł. Na sześciu misach srebrnych, roboty wspaniałéj, były mięsiwa wędzone wieprzowe z zad. Na drugich sześciu było dwoje prosiąt okrągluchnych, kiełbasy najmniéj po 4 łokcie długie, a dziwnie pachnące, i koloru krokoszowego ciemnawego, ustrojone rzędami jaj święconych i pisanek pomalowanych w przeróżniéj barwie, ale najwięcéj na rakowe.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

X. Alexander a Jesu, Karmelita, kaznodzieja wieku XVI.

(Andrzéj Kochanowski.)

Wymowa kościelna w wieku XVI. i na początku XVII. w kwitnącym u nas była stanie, o czém przekonywają dzieła Skargi, Wujka, Białobrzeskiego, Birkowskiego i innych, stanowiących okres złotego wieku wymowy kaznodziéjskiéj. Lecz, od czasu, gdy królowie obcych rodów panować nam zaczęli, kaziła się czystość mowy polskiéj przymięszywaniem do niéj łaciny, i wkrótce na najniższy stopień zeszła. Późniéjsi kaznodzieje prawie wszyscy noszą na sobie piętno tego smaku, jakim się wiek ów odznaczył, i trudno jest znaleść pomiędzy nimi wyjątek. Zjawiali się w prawdzie na mównicach kościelnych zdolni mężowie, jakim jest Andrzéj Radawiecki, Adam Piekarski, Dominikanie, Adam Makowski i Mateusz Bembus, Jezuici; i tylu innych, w których pismach zupełnéj przecież czystości mowy dopatrzyć się trudno: i kiedy nie można wskazać, któryby z nich powszechnéj nie uległ wadzie, wspomnieć przynajmniéj należy tego, który najmniéj na ten zarzut zasłużył, a tym jest O. Alexander a Jesu.

Pochodzi on z rodziny, tyle słynnéj u nas w piśmienictwie złotego wieku. Urodził się w roku 1618 w Województwie Sandomirskiém, z ojca Marcina Kochanowskiego, podstarosty Radomskiego, a z matki Anny Święcickiéj, i na chrzcie otrzymał imie Andrzéj. Po ukończeniu szkół, w roku 1634, wstąpił do zakonu Karmelitów bosych w Krakowie, przy kościele Niepok. Poczęcia N. P. na Strzelnicy, teraz Wesoła zwanéj, i professyą złożył do rąk O. Michała od Zwiastowania N. P., Przeora zgromadzenia Karmelit. przy kościele S. Michała i Józefa w Krakowie, gdzie mu zgodnie z przepisami téj reguły dano imie Alexander a puero Jesu. W tym zakonie będąc, powoływany często na kazalnicę, wykształcił się na mówcę kościelnego i następne kazania pogrzebowe drukiem ogłosił:

1.) Plaster miodu etc., kazanie na pogrzebie Panny Barbary Lanckorońskiéj. — 4. w Krakowie roku 1649.

2.) Rzeka etc. na pogrz. Stanisława Lubomirskiego, Wojewody Krak. — 4. w roku 1649.

3.) Niebieskie planety etc. — na pogrz. Jana Michała Daniłowicza z Żurowa. 4. w Krak. roku 1650.

4.) Mężna śmierć etc. na pogrz. Mikołaja z Olexowa Gniewosza. — 4. w roku 1650.

5.) Jednorożec etc. — na pogrz. Jana Fredro, Sędziego Przemyślsk. — w Krak. 1652.

6.) Topor etc., na pogrz. Mikołaja Korycińskiego. 4. w Krak. roku 1661.

7.) Gniazdo wyniosłości etc. na pogrz. Katarzyny Sieniawskiéj. — 4. w Krak. roku 1648.

W kazaniach tych chociaż nie ze wszystkiém wolny jest od wad, którym polegali współcześni jemu i następni panegiryczni mówcy; przecież mniéj od innych grzeszy nadętością i czczych wyrazów igraszką, a niekiedy wznosi się nad skażony smak wieku; w porównaniach, obrazach i opisach śmielszym puszcza się biegiem i współzawodników wyprzedza.

W wstępie do kazania Plaster miodu etc. tak się do młodozmarłéj odzywa: „Ale jakoż cię plastrem miodu nazowię, któraś tak wielu gorzkością napełniła? Jakoż cię do słodkiego przyrównam miodu, która tak wielu ostrym żalem napełniłaś i przykremi łzami napoiła?... Przyznawam to, że rodzice gorzko boleć muszą, patrząc na tak zaranną śmierć ukochanéj córy.“ Daléj zwraca mowę do ojca, Stanisł. Lanckorońskiego, wojewody Bracławskiego. „Po tak znacznych wojennych imperzach, *) rozumiałeś, żeś miał na tryumfy od ciebie zasłużone do domu się wrócić; a ty wróciłeś na pogrzeb ukochanéj córy. Mniemałeś, żeś tu miał zastać zakwitłe na twoją głowę laury, aż tu zastałeś nad jedynie kochanéj córki twéj grobem wyrosłe cyprysy. Oszukałaś mię ukochana córko! (wołasz z izraelskim Hetmanem) ... bo kiedym ja sobie obiecywał po tobie pociechy słodkie, tyś mię gorzkim nakarmiła żalem.„

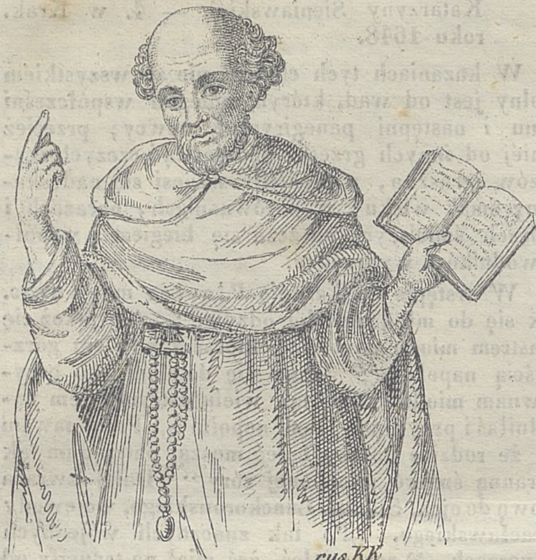
W témże kazaniu, malując niepodobieństwo wybiegania się od śmierci, tak mówi: „Śmierć, choć się między zacnemi tytułami, jako jabłko między ozdobnemi zakryjesz liściami, znajdzie cię. Choć jeszcze zielone i kwitnące siły służą, zerwie cię. Choć się urodzenie, abo przychylne wysoko wyniesie szczęście, dosięże cię. Opływaj w dostatkach, nie wykupisz się. Zbrojnym otocz się ludem, nie obronisz się. Zbierz wszystkie krasomowców figury, nie wyprosisz się. Niech cię przychylna fortuna z rozpostartemi żaglami do pożądanego afektów twoich prowadzi portu, przecię jednak, kiedy się najmniéj spodziewasz, barka śmiertelnego żywota twego o grobowiec rozbić się musi i t. d.“

Wyjątki z innych kazań jego, znajdują się w dziełku: Przypowieści krótkie dawnych Polaków, roku 1819.

Będąc Definitorem Prowincyi, umarł w Lublinie dnia 15. Paźdz. roku 1667, a współczesny ktoś przy zapisie czasu zgonu jego tę skromną napisał mu pochwałę: Fuit Praedicator Verbi Dei insignis. [Z rękopismu.]

Kraków roku 1837. A. Gr.

*) Jako regimentarz wojsk Rzpltéj, w bitwach z Chmielnickim pod Kamieńcem, Ostropolem, Zbarażem i Krasnem, miał udział. Umarł roku 1675.



X. Alexander. (Andrzéj Kochanowski.)

Enthuzyasta.

Monolog.

— — — — — — — — — —

Bo gdy ludziom uciekłem, myślom mym nie mogę!
Myśli me — to jak ptaki wędrowne w pustyni,
Nie na ziemi — nie w niebie, w powietrznéj przestrzeni
Zawisły, utonęły w błękitnym roztopie!
Tylko tam jeden został. — Płyń, płyń silny ptaku,
Coraz wyżéj i chyżéj po niebieskim stropie. —
Dźwięcz, dźwięcz pieśń odalisek. Niechaj na tle chmury
Odpoczną twoje skrzydła; niech promienna gwiazda
Ostrzéli blaskiem chwały twe skronie śpiewaku!
Niech ci wtórzą aniołów harmonijne chóry,
Świat cały, boś ty ptaku fantazya natury!
Dla ludzi śpiewak inny, lecz jeszcze u zdroju
Krzepi siły — naczerpa na podróż napoju,
Bo to oschłe w pustyni topieliska piasku. —
Silny to ptak, bo oba z jednegoście gniazda; —
Jednak został; nie poszedł w chmur mdławym obrzasku
Szermierzować z drugiemi. — Ma on oba skrzydła
Szorstkie, zdrowe i silne, jak żaden ze stada;
Ma oko, ma on szpony, jest ptakiem nielada!
Jednak został. — Pewnie mu wędrówka obrzydła;
Pewnie dumny, ambitny, więc wzgardził iść w ślady
Licznéj, lecz niedołężnéj latawców gromady.
Jest silny, więc udzielnie chce lecieć dla siebie!

— — — — — — — — — —

Myśli me to są ptaki w świecie wędrujące;
To rój latawców zabrzmi — lotem piór zatrzepie,
Zaszumi i przepadnie na bezludnym stepie;
I przepadł, gdzie już przed nim przepadło tysiące.
Tylko jedna myśl moja utkwiła tam w niebie,
Tylko jedna na ziemi. — Ma skrzydła sokole,
Szorstkie, lotne, jak żadna na ziemskim padole;
A jednak pozostała! — Czyż zmyliła drogę,
Czyliż zbrzydziła sobie tę wieczną żeglugę?
Pewnie silna, ambitna, więc nie chce być ptakiem,
Co leci za drugiemi torowanym szlakiem. —
I dla tego aż dotąd u zdroju ją widzę.
I aż dotąd ją widzę przed ducha oczyma.
Kocham ją i przeklinam! Czasem ją obrzydzę,
Czasem pieszczę! Ach! duch mój jest w jéj podobieństwie!
To skarbnica méj duszy; siła, która trzyma
W uwięzi wszystkie siły, wszystkie w posłuszeństwie.
To skarbnica boskości, któréj wiecznie strzegnę!
Ach! to ciężar, co gniecie rozpaczą Kaina
Głowę, serce; bo u mnie nie tak jak u ludzi,
Głowa i serce; myśl o czuciu nie wie!
Ja choć ubiegłem myślom, czuciu nie ubiegnę!
Czucie me, to jak ukrop padły na żarzewie
Wytrawi się, wypali, ale nie wystudzi!
Myśl ma padła na czucie, jest życia zatruciem!

— — — — — — — — —

Tak rzucona na pastwę i głowa i serce
Wytrawi się powoli myślą i uczuciem!

— — — — — — — — —

Przynajmniéj ich dla ludzi nie mam w poniewierce!
Przynajmniéj dla nich niechcę skarbnicy méj złupić!
Nie mam długu u ludzi — nie mogę go spłacić; —
Wdzięczności i wielkości niechcę u nich kupić.
Wielkość we mnie! Co we mnie nie onym zbogacić;
Co we mnie, to nie ludziom poznać i ocenić

— — — — — — — — —

Dzisiaj człowiek rozchwiał się w dawnéj swojéj sile,
Wyłonił z łona matki, myśli swoich skutkiem,
Oderwał od jéj piersi i stał się podrzutkiem,
Rozumu starzanego w zbutwiałych ksiąg pyle!
Uczuł się i uderzył po stronach żywota;
Lecz akord strojny dotąd w wiecznem rozstrojeniu
Zabrzmiał tonem — boleści, rozbratu — niezgody. —
I stał człek z krwawém sercem, z duszą w utęsknieniu,
Obcy sobie i obcy dla reszty przyrody!
Nie poznał bratnich rysów w rodzimém plemieniu
Pod sobą i nad sobą; bo utonął w sobie;
Pogrzebł się za żywota w swéj jednostki grobie,
A cieniem wśród żyjątek pełznął jako mara
W pół żywa i w pół martwa; bez władzy, potęgi,
Którą dzierżył; nauką schromała w nim wiara;
A wiary w własną siłę to nikt nie znachodzi,
Ani jéj się nauczy z zabutwiałéj księgi,
Ani kupi! — Dziś ludzie tyle tylko wierzą.
Ile myśl ich na własną głębią się zawodzi,
Ile zmysłem dosięgną, liniją rozmierzą. —
Tém, co w sobie poznali i o innych sądzą,
W czém sami błądzą, myślą, że i inni błądzą!
Bo dzieła ich i myśli, to cudzych dzieł miara. —

— — — — — — — — —

Więc moja myśl im będzie pustynią Sahara!

— — — — — — — — —

Przynajmniéj, że jéj ludzie nie zrąbią na ćwierci,
Jako trupa, by zbadać jéj treść i osnowę!
Bo ona nie skarleje jak inne po śmierci,
I nie wyłamie skrzydła o zgliszcze grobowe!
Przynajmniéj, że nie ludziom zdane sądy na mnie!
Bo choćby przeczytali ducha jak z zwierciadła,
Choćby myśl ich, myśl moją przeczuciem wykradła,
I oko ich brodziło w mojéj duszy na dnie,
Jak brodzi nurek w głębiach, porząc morskie fale,
I wykrada skarb łonu, perły i korale,
Jednego, najdroższego skarbu nie wykradnie;
Tajemnicy tych głębi nie pozna, nie zbada;
Strzeże jéj niedociekłość — — — —

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)